



JOHN

GRISHAM

Czas zapłaty

Rozdział 1

Setha Hubbarda znaleziono mniej więcej tam, gdzie sam wskazał, choć może niezupełnie w stanie, w jakim się go spodziewano znaleźć. Zwisał na sznurze dwa metry nad ziemią, lekko obracając się na wietrze. W rejonie przesuwiał się front atmosferyczny i wisielec był przemoczony do suchej nitki, choć nie miało to dla niego większego znaczenia. Ktoś zauważył, że buty Setha nie są ubłocone, a pod nim nie widać żadnych śladów, czyli pewnie zawisł i wyzionął ducha, zanim zaczęło padać. Czemu to miało być ważne? No więc właściwie nie było.

Powieszenie się na drzewie nie jest proste, jednak Seth wszystko skrupulatnie zaplanował. Zastosował gruby sznur z manilskich konopi, nienowy i z pewnością wystarczająco mocny, by go utrzymać. Jego waga zanotowana miesiąc wcześniej podczas badania lekarskiego wynosiła siedemdziesiąt trzy kilogramy. Później pracownik zakładu Setha zeznał, że widział, jak tydzień przed tym dramatycznym wydarzeniem szef własnoręcznie odcinał piętnastometrowy kawał sznura ze szpuli w magazynie. Koniec sznura był ciasno owinięty wokół niższej gałęzi i zakończony serią dość amatorskich węzłów, które jednak

wytrzymały obciążenie. Drugi koniec został przerzucony przez gałąź jakieś pół metra nad pierwszą, dokładnie sześć metrów czterdzieści centymetrów nad ziemią. Zwisiał z niej odcinek sznura o długości dwóch metrów siedemdziesięciu centymetrów, zakończony niemal profesjonalną pętlą wisielczą. Widać było, że Seth musiał się nieźle nad nią natrudzić. Była wykonana z wręcz podręcznikową precyzją i składała się z trzynastu zwojów, które po obciążeniu miały ją zacisnąć. Dobrze wykonana pętla powinna od razu złamać kark, dzięki czemu śmierć następuje szybciej i jest mniej bolesna. Najwyraźniej Seth dobrze odrobił pracę domową. Nie było żadnych śladów walki lub obrażeń.

Pod drzewem leżała dwumetrowa drabina. Seth widocznie wybrał drzewo, przerzucił sznur, zawiązał, wszedł po drabinie, wsunął głowę w pętlę i gdy wszystko było gotowe, nogą odtrącił drabinę. Jego ręce zwisiały swobodnie po bokach.

Czy ktoś choć przez chwilę miał wątpliwości, coś podejrzewał? Czy gdy nogi straciły oparcie, a ręce pozostawały wolne, Seth nie próbował odruchowo podciągnąć się na sznurze, nim ostatecznie się poddał? Nikt nigdy się tego nie dowie, ale nie wyglądało na to. Jak wykazało późniejsze dochodzenie, Seth wypełniał misję.

Ubrał się na tę okazję w swój najlepszy garnitur, ciemnoszary, wełniany, który zwykle wkładał na pogrzeby w chłodniejsze dni. Miał tylko trzy garnitury. Wiszące na sznurze ciało ulega wydłużeniu, więc mankiety spodni Setha znalazły się na wysokości kostek, poły marynarki sięgały pasa. Czarne skórzane półbuty były świeżo wyczyszczone i lśniły. Granatowy krawat był równiutko zawiązany. I tylko białą koszulę splamiła krew, która wyciekła spod pętli. Już po paru godzinach ustalono, że o jedenastej Seth Hubbard uczestniczył w nabożeństwie w miejscowym kościele. Rozmawiał ze znajomymi, pożartował z diakonem, położył na tacy datek i zdawało się, że jest w dobrym nastroju. Większość znajomych słyszała, że zмага się z rakiem płuc, choć nikt nie wiedział, że lekarze dają mu tylko parę

tygodni życia. Wiedziano natomiast, że znajduje się na kilku listach intencji modlitewnych. Seth nosił na sobie piętno dwóch rozwodów, i jego wizerunek prawdziwego chrześcijanina był na zawsze zbrukany.

Samobójstwo na pewno tego wizerunku nie poprawiało.

Drzewem był wiekowy platan, rosnący na ziemi od lat należącej do rodziny Setha — jedno z wielu starych drzew porastających jego posiadłość. Las stanowił źródło cennego surowca i był wielokrotnie zastawiany w bankach, przyczyniając się do powstania fortuny jego właściciela. Ojciec Setha w dość niejasnych okolicznościach w latach trzydziestych przejął ten teren na własność, potem obie żony Setha próbowały mu go zabrać podczas batalii rozwodowych, jednak nic nie wskórały. Ziemia pozostała jego własnością, choć eksmałżonkom udało się zabrać mu niemal całą resztę.

Pierwszy na miejscu zjawił się Calvin Boggs, złota rączka od wszystkiego, którego Seth od lat zatrudniał w swoim gospodarstwie. W niedzielę rano Calvin odebrał telefon od pracodawcy, który polecił mu przyjść o drugiej na mostek. Nic więcej mu nie powiedział, a Boggs nie miał zwyczaju wypytywać swego szefa. Jeśli pan Hubbard kazał mu przyjść gdzieś o określonej porze, z góry było wiadomo, że sam też tam będzie. W ostatniej chwili dziesięcioletni syn Calvina uprosił ojca, by wziął go z sobą, i Boggs uległ, choć coś mu mówiło, że nie powinien. Pojechali żwirowaną drogą, która całymi kilometrami wiała się po posiadłości Hubbarda. Po drodze Calvin zachodził w głowę, co może być powodem tego spotkania. Nie przypominał sobie, by szef kiedykolwiek wcześniej wzywał go w niedzielne popołudnie. Wiedział, że jest ciężko chory, i słyszał, że może niedługo umrzeć, ale jak we wszystkim, pan Hubbard także w tej sprawie zachowywał dyskrecję.

Mostek był tak naprawdę drewnianą kładką przerzuconą przez bezimienny potok o brzegach porośniętych gęstwiną kudzu, gdzie roiło się od mokasynów błotnych. Od wielu miesięcy

Hubbard nosił się z myślą o zbudowaniu w tym miejscu prawdziwego mostka, jednak stan jego zdrowia sprawiał, że miał co innego na głowie. Na porośniętej krzakami polanie koło kładki stały dwie rozpadające się drewniane chaty, świadcząc o tym, że niegdyś mieszkali tu ludzie.

Obok stał zaparkowany najnowszy model cadillaca pana Hubbarda; drzwi po stronie kierowcy i kłapa bagażnika były szeroko otwarte. Calvin stanął za limuzyną, przyjrzał jej się i po raz pierwszy pomyślał, że coś może być nie tak. Łał rześisty deszcz, wiał dość silny wiatr, i Boggsowi nie przychodził do głowy żaden rozsądny powód, dla którego Hubbard mógłby zostawić drzwi i bagażnik otwarte. Kazał synowi zostać w kabinie pick-upa, sam ostrożnie obszedł samochód wokół, niczego nie dotykając. Nigdzie ani śladu szefa. Calvin westchnął głęboko, otarł twarz z kropli deszczu i rozejrzał się. Po drugiej stronie polany, jakieś sto metrów dalej, dostrzegł wiszące na drzewie ciało. Zawrócił do swojego wozu i ponownie nakazał synowi, by nie ruszał się z miejsca i miał drzwi zamknięte. Niestety było już za późno. Chłopiec siedział ze wzrokiem utkwionym w rozłożysty platan w oddali.

— Masz tu siedzieć i nie wysiadać — powiedział surowo Calvin. — Nie ruszaj się stąd.

— Tak, tato.

Boggs ruszył w stronę platana. Ślizgając się po błocie i powoli stawiając nogi, starał się uspokoić. Zresztą i tak nie miał się po co śpieszyć, bo im bliżej drzewa podchodził, tym oczywistsze stawało się to, że wiszący mężczyzna już nie żyje. Chwilę później Calvin go rozpoznał, dostrzegł leżącą drabinę i wszystko ułożyło mu się w głowie w logiczny ciąg. Nie dotykając niczego, zawrócił w stronę pick-upa.

Był październik 1988 roku i wreszcie na wiejskie tereny Missisipi zaczęły docierać telefony samochodowe. Na wyraźne życzenie pana Hubbarda Calvin zainstalował ten wynalazek w swoim pick-upie i dzięki temu mógł teraz zadzwonić do biura

szeryfa okręgu Ford. Zwięźle poinformował szeryfa o swoim znalezisku i zaczął czekać. Czuł na sobie podmuch włączonego ogrzewania, słuchał przez radio kojącego głosu Merle Haggard i tępym wzrokiem wpatrywał się w zalewaną deszczem szybę. Zapomniał o obecności syna. Postukując palcami w rytmie pracujących wycieraczek, Calvin nagle zdał sobie sprawę, że płacze. Chłopiec siedział jak trusia, bojąc się odezwać.

Po półgodzinie zjawili się dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa. Wysiedli z radiowozu i właśnie wciągali kurtki przeciwdeszczowe, gdy nadjechała karetka z trzyosobową załogą. Wszyscy zaczęli wpatrywać się w rosnący w oddali platan, bo nawet z tej odległości było widać, że na gałęzi ktoś wisi. Calvin przekazał policjantom wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia, a oni stwierdzili, że najlepiej będzie uznać otoczenie platana za miejsce przestępstwa, i zabronili załodze karetki zbliżyć się do wisielca. Po chwili nadjechał kolejny policjant, zaraz po nim jeszcze jeden. Przeszukali samochód Hubbarda, ale nie znaleźli nic ciekawego. Obfotografowali i nagrali na wideo wiszące zwłoki z wybałuszonymi oczami i groteskowo przekrzywioną głową. Dokładnie zbadali ziemię wokół platana i doszli do wniosku, że poza denatem wcześniej nie było tam nikogo więcej. Jeden z policjantów zawiózł Calvina do domu Hubbarda, milczący cały czas chłopiec usiadł z tyłu. Drzwi nie były zamknięte na klucz, na stole w kuchni leżała kartka wydarta z notatnika. Seth napisał na niej wyraźnymi drukowanymi literami: „Do Calvina. Zawiadom władze, że odebrałem sobie życie sam, bez niczyjej pomocy. Na załączonej kartce zostawiam szczegółowe instrukcje co do nabożeństwa żałobnego i pogrzebu. Nie życzę sobie żadnej sekcji! S.H.”. U dołu widniała dzisiejsza data: niedziela, 2 października 1988 roku.

Ludzie szeryfa w końcu pozwolili Calvinowi odejść. Wrócił z synem do domu, chłopiec wtulił się w matkę i do końca dnia nie powiedział ani jednego słowa.



Ozzie Walls był jednym z dwóch czarnoskórych szeryfów w Missisipi. Drugi został niedawno wybrany w okręgu zamieszkanym w siedemdziesięciu procentach przez czarnych. W okręgu Ford siedemdziesiąt cztery procent stanowili biali, a mimo to Ozzie był szeryfem już drugą kadencję, zwyciężając za każdym razem dużą przewagą głosów. Czarni go kochali, bo był jednym z nich. Biali go szanowali, bo był twardym gliną i dawnym gwiazdorem drużyny futbolowej liceum w Clanton. Na głębokim Południu futbol w pewnym sensie miał przewagę nad rasą.

Wiadomość dotarła do Ozziego w chwili, gdy wraz z żoną i czwórką dzieci wychodził z kościoła po niedzielnym nabożeństwie. Dlatego dołączył do reszty, w odświętnym ubraniu, bez odznaki i broni, ale za to w gumowcach, które zawsze woził w bagażniku. Z dwoma funkcjonariuszami i z parasolem w rękę przebrnął przez błoto i dotarł do platana. Ciało Setha było już tak przemoknięte, że woda ciurkiem kapała z czubków butów, brody, uszu, palców i mankietów spodni. Ozzie zatrzymał się z głową koło butów, unióś parasol i przyjrzał się pobladłej żałośnie twarzy człowieka, którego widział zaledwie dwa razy w życiu.

Wiązały się z nim wspomnienia. W 1983 roku, gdy po raz pierwszy ubiegał się o urząd szeryfa, miał trzech białych konkurentów i brakowało mu pieniędzy. Wtedy zadzwonił do niego Seth Hubbard. Ozzie go nie znał, ale — jak się wkrótce przekonał — był to człowiek unikający rozgłosu. Seth mieszkał na północno-wschodnim krańcu okręgu Ford, niemal na granicy z okręgiem Tyler. Oznajmił Ozziemu, że działa w branży drzewnej, jest właścicielem kilku tartaków w Alabamie i paru współpracujących z nimi zakładów przetwórczych w różnych miejscach, i brzmiał jak człowiek sukcesu. Zaproponował sfinansowanie kampanii wyborczej Ozziego, jednak po

warunkiem, że ten przyjmie forszę z ręki do ręki. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w żywej gotówce. Siedzieli sami w gabinecie Hubbarda, gospodarz otworzył kasetkę i pokazał gościowi pliki banknotów. Ozzie przypomniał mu, że prawo nakazuje oficjalnie zgłaszać wszelkie datki na kampanię, na co Seth oświadczył, że sobie tego nie życzy. Gotówka z ręki do ręki albo nic z tego.

— Czego oczekuje pan w zamian? — zapytał Ozzie.

— Że wygra pan wybory, nic więcej — odrzekł Seth.

— Sam nie wiem.

— Czy sądzi pan, że pańscy konkurenci nie biorą pieniędzy pod stołem?

— Pewnie biorą.

— Jasne, że biorą. Niech pan nie będzie naiwny.

Ozzie wziął pieniądze, rozkręcił kampanię, przeszedł do drugiej tury i zmiażdżył konkurenta. Później jeszcze dwukrotnie zaglądał do biura Hubbarda, by mu podziękować, ale ani razu go nie zastał. Hubbard nie odbierał telefonów i nie oddzwaniał. Walls nawet dyskretnie zasięgnął języka, ale informacje o Hubbardzie były niezwykle skąpe. Mówiono, że dorobił się na produkcji mebli, ale nikt nie wiedział nic pewnego. Był właścicielem osiemdziesięciohektarowej posiadłości, na której stał jego dom. Nie korzystał z usług miejscowych banków, firm prawniczych ani ubezpieczeniowych. Czasami pojawiał się w kościele.

Cztery lata później Ozzie miał niegroźnych konkurentów, ale Seth i tak chciał się z nim spotkać. Z rąk do rąk przeszło kolejne dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, po czym Hubbard ponownie jakby zapadł się pod ziemię. A teraz nie żył. Sam odebrał sobie życie i wisiał, ociekając deszczem.

Na miejscu zjawił się w końcu Finn Plunkett, miejscowy koroner, i od tej chwili zgon denata stał się faktem urzędowym.

— Zdejmijmy go — powiedział Ozzie.

Rozsupłano węzły na gałęzi i ciało Setha spuszczone na

ziemię. Zdjęto pętlę, ułożono zwłoki na noszach i przykryto płachtą termiczną, po czym czterech mężczyzn nieźle się nadźwigało, niosąc je do karetki. Ozzie Walls szedł za nimi, równie zbity z tropu jak wszyscy.

Od czterech i pół roku był szeryfem i widział wiele ofiar wypadków i kraks samochodowych, kilku morderstw oraz paru samobójstw, nie stępiło to jednak jego wrażliwości i nie wywołało zubożenia. Wielokrotnie zdarzało mu się dzwonić wieczorami do rodziców lub współmałżonków ofiar, jednak i tak z przerażeniem myślał o następnym razie.

Pocziwy stary Seth. Tylko do kogo powinien zadzwonić tym razem? Wiedział, że Hubbard był rozwodnikiem, ale nie miał pojęcia, czy się ponownie ożenił. Nie wiedział też nic o jego bliższej i dalszej rodzinie. Seth był około siedemdziesiątki. Jeśli miał dorosłe dzieci, to co się teraz z nimi dzieje?

No cóż, wkrótce wszystkiego się dowie. W drodze do Clanton zaczął dzwonić do ludzi, którzy mogli bliżej znać Setha Hubbarda.

Rozdział 2

Jake Brigance leżał wpatrzony w czerwone cyferki na elektronicznym budziku. O piątej dwadzieścia dziewięć wyciągnął rękę, wcisnął guzik i ostrożnie spuścił nogi na podłogę. Carla obróciła się z boku na bok i szczelniej otuliła kołdrą. Jake klepnął ją lekko w pupę i powiedział „dzień dobry”, ale nie zareagowała. Był poniedziałek, zwykły dzień roboczy, i Jake wiedział, że żona pośni jeszcze z godzinę, potem zerwie się z łóżka i popędzi z Hanną do szkoły. W czasie wakacji Carla sypiała dłużej, a dni wypełniały jej babskie sprawy i spełnianie zachcianek Hanny. Natomiast plan dnia Jake’a praktycznie zawsze wyglądał tak samo. Wstawał o wpół do szóstej, o szóstej był już w kawiarni, przed siódmą wchodził do biura. Niewielu prawników rozpoczynało dzień tak wcześnie jak Jake Brigance, choć i on — osiągnąwszy niedawno poważny wiek trzydziestu pięciu lat — zaczynał się coraz częściej zastanawiać, co go rano tak pędzi. I dlaczego tak mu zależy, by być w biurze wcześniej niż inni prawnicy z Clanton? Odpowiedź — niegdyś tak oczywista — stawała się coraz bardziej mglista. Marzenie, by zostać wielkim prawnikiem

procesowym, wcale go nie opuściło, a jego ambicje ani trochę nie zmały, tyle że górę brała proza życia. Dziesięć lat walki na pierwszej linii, a na jego biurko wciąż trafiały tylko testamenty, umowy nabycia i akty własności oraz banalne spory o treść zapisów w kontraktach. Ani jednej przyzwoitej sprawy kryminalnej, żadnych dobrze rokujących kraks samochodowych.

Wyglądało na to, że najbardziej chwalebny moment kariery ma już za sobą. Od uniewinnienia Carla Lee Haileya minęły trzy lata i Jake zaczynał się obawiać, że po tym szczycie kariery nic podobnego go już nie czeka. Jednak uporczywie próbował odganiać od siebie takie myśli, powtarzając sobie, że ma dopiero trzydzieści pięć lat i jest gladiatorem, którego na arenach sądowych czeka jeszcze wiele zwycięstw.

Nie musiał rano wypuszczać psa, bo psa już nie było. Max zginął trzy lata temu w pożarze, w którym spłonął ich ukochany, prześliczny i zadłużony po dach wiktoriański dom przy Adams Street. Ludzie z Klanu podpalili go w lipcu 1985 roku, w kluczowym momencie procesu Haileya. Najpierw spalili krzyż na trawniku przed wejściem, potem próbowali wysadzić dom. Jake wysłał wtedy Carlę i Hannę do rodziny i postąpił słusznie. Klansmani przez miesiąc próbowali go zabić, w końcu podpalili mu dom. Mowę końcową na procesie wygłaszał w pożyczonym ubraniu.

Temat nowego psa był zbyt bolesny, by poważnie się nim zajmować. Kilkakrotnie się do tego przymierzali i dawali spokój. Hanna chciała mieć psa i pewnie jej się to należało, bo była jedynaczką i często się skarżyła, że nudzi jej się samej. Jednak i Jake, i — zwłaszcza — Carla wiedzieli, na kogo spadnie obowiązek przyuczania szczeniaka do porządku i sprzątanego po nim. Ponadto mieszkali teraz w wynajętym domu i nie można było powiedzieć, że są tu u siebie. Może obecność zwierzęcia nadałaby ich życiu większą normalność, a może wręcz przeciwnie. Jake często o tym myślał w pierwszych minutach po przebudzeniu. Bo tak naprawdę brakowało mu psa.

Wziął szybki prysznic i ubrał się w małej gościnnej sypialni, którą zamienili z Carłą we wspólną garderobę. Zresztą pokoje w tym cudzym domu były małe i wszystko w nim było tymczasowe. Umeblowanie stanowiło żalosną zbieraninę prezentów od przyjaciół i staroci z pchlego targu. Jeśli sprawy potoczą się zgodnie z planem, któregoś dnia wszystko to trafi na śmietnik. Niestety Jake z przykrością stwierdzał, że na razie nic tego nie zapowiada. Ich roszczenie wobec firmy ubezpieczeniowej utknęło na etapie przepychanek przedprocesowych i wyglądało beznadziejnie. Złożył je sześć miesięcy po wyroku w sprawie Haileya, gdy zdawało mu się, że świat należy do niego, i wszystko widział w różowych barwach. Jak jakaś firma ubezpieczeniowa śmie go oszukiwać? Niech tylko stanie przed następną ławą przysięgłych w okręgu Ford, to on już wydobędzie z niej właściwy werdykt. Jednak nastrój pewności siebie zaczął się kruszyć, gdy Jake i Carła uświadomili sobie, że ich dom był poważnie niedoubezpieczony. Cztery przecznice od obecnie wynajmowanego domu ich pusta działka leżała odłogiem, z wolna porastając chwastami. Mieszkająca obok pani Pickle obiecała mieć na nią oko, tyle że nie bardzo miała co pilnować. Sąsiedzi czekali cierpliwie na chwilę, gdy na posesji Brigance'ów zacznie rosnać nowy piękny dom i powrócą właściciele.

Jake wszedł na palcach do pokoju Hanny, pocałował ją w policzki i podciągnął wyżej kołderkę. Miała siedem lat, była ich jedynym dzieckiem i następnych nie planowali. Chodziła do drugiej klasy szkoły podstawowej w Clanton, przez ścianę z przedszkolem, w którym pracowała jej mama.

Przeszedł do kiszki kuchni, włączył ekspres do kawy i chwilę odczekał, aż zacznie prychać. Otworzył teczkę, musnął końcami palców tkwiącą w niej półautomatyczną dziewczątkę w kaburze i włożył kilka plików akt. Już przywykł do noszenia broni i bardzo go to martwiło. Bo jak można prowadzić normalne życie, gdy ma się stale pod ręką broń? Ale normalne czy nie,

noszenie broni było koniecznością. Najpierw próbują wysadzić ci dom, potem go podpalają; przez telefon grożą twojej żonie; palą krzyż na trawniku przed domem; katują do nieprzytomności męża twojej sekretarki i robią to tak skutecznie, że wkrótce umiera; nasyłają snajpera, który próbuje cię zastrzelić, tylko że strzela niecelnie i zamiast w ciebie trafia w strażnika; próbują cię terroryzować podczas procesu i odgrają się jeszcze długo po jego zakończeniu.

Czterech skazano i ci odsiadywali wyroki — trzech w więzieniu federalnym, jeden w Parchman. Ale tylko czterech, jak Jake wciąż sobie powtarzał. Do więzienia powinno trafić co najmniej tuzin. Tak samo uważał Ozzie i inni miejscowi czarnoskórzy liderzy. Z przyzwyczajenia i w poczuciu bezsilności Jake dzwonił do FBI co najmniej raz w tygodniu, wypytując o postępy w śledztwie. Minęły trzy lata, zaczęto więc unikać jego telefonów i nie oddzwaniać. Wtedy zaczął słać pisma. Teczki z dokumentacją sprawy zajmowały oddzielną szafkę w jego gabinecie.

Tylko czterech. Znał po nazwisku wielu innych. Wszyscy mieli status podejrzanych, w każdym razie dla Jake'a. Niektórzy się wynieśli, inni zostali, ale jedni i drudzy prowadzili zwykłe życie, jakby nic się nie stało. Dlatego wciąż trzymał pod ręką broń, na którą miał wszystkie niezbędne pozwolenia. Jeden pistolet chował w teczce, jeden w samochodzie, dwa miał w biurze i jeszcze w paru innych miejscach. Jego kolekcja broni myśliwskiej przepadła w pożarze, ale powoli ją odbudowywał.

Wyszedł na niedużą murowaną werandę i wciągnął do płuc chłodne powietrze. Na ulicy przed domem stał radiowóz z biura szeryfa okręgu Ford, z niejakim Louistem Tuckiem za kierownicą. Tuck pracował na nocnej zmianie, a do jego podstawowych zadań należało kręcenie się po okolicy przez całą noc i stanie przed domem Brigance'ów o piątej czterdzieści pięć każdego ranka, od poniedziałku do piątku. Jake Brigance co rano wychodził na werandę i machał na przywitanie, a Tuck

odmachiwał, co oznaczało, że Brigance'om udało się przeżyć kolejną noc.

Dopóki Ozzie Walls będzie szeryfem okręgu Ford — czyli co najmniej jeszcze przez trzy lata, a zapewne znacznie dłużej — on i jego funkcjonariusze zamierzali robić wszystko, by chronić Jake'a i jego rodzinę. Jake zajął się sprawą Carla Lee Haileya, harował jak wół za grosze, unikał kul, nie zwracał uwagi na groźby i stracił niemal wszystko za cenę wyroku uniewinniającego, który wstrząsnął okręgiem Ford i do dziś był rozpamiętywany. Dlatego chronienie go trafiło na listę priorytetów Ozziego.

Tuck ruszył z miejsca. Jak zwykle zamierzał zrobić rundkę po okolicy, kilka minut po odjeździe Jake'a wrócić pod jego dom i poczekać na zapalenie się światła w kuchni, co będzie znaczyło, że Carla już wstała i się krząta.

Jake jeździł jednym z dwóch saabów zarejestrowanych w okręgu Ford. Jego był czerwony i miał ponad trzysta tysięcy kilometrów na liczniku. Jake'owi przydałoby się coś nowszego, ale nie było go na to stać. Tak nietypowym samochodem w małym miasteczku można było kiedyś nieźle poszpanować, jednak koszty napraw stawały się mordercze. Najbliższy dealer saaba znajdował się w Memphis, godzinę jazdy z Clanton, a to oznaczało, że każda wizyta w serwisie zabierała pół dnia i kosztowała tysiąc doliczów. Jake dojrzał już do kupna amerykańskiego samochodu i myślał o tym co rano, gdy przekręcał kluczyk w zapłonie i wstrzymywał oddech w obawie, czy silnik zapali. Jak dotąd zawsze zapalał, ale od paru tygodni Jake słyszał, że robi to jakby niechętnie. Rozrusznik musiał kilka razy pokręcić, a to stanowiło ostrzeżenie, że szkuje się coś poważniejszego. Słuch miał obsesyjnie wyczulony na wszelkie nietypowe dźwięki i szmery. Co drugi dzień sprawdzał też stan opon, patrząc, jak bieżnik robi się coraz płytszy. Wyjechał tyłem na Culbert Street, która — choć dzieliły ją zaledwie cztery przecznice od Adams Street i ich posesji —

zdecydowanie zaliczała się do biedniejszych. Sąsiedni dom też był na wynajem. Przy Adams stały starsze i okazalsze domy z charakterem. Przy Culbert ciągnął się szereg jednakowych podmiejskich klocków, które budowano w czasach, gdy w mieście nikt nie myślał jeszcze o planowej zabudowie.

Choć Carla niewiele na ten temat mówiła, Jake wiedział, że też marzy o wyrwaniu się stąd.

Jeśli rozmawiali o przeprowadzce, to raczej o wyniesieniu się z Clanton na dobre. Trzy lata, które minęły od procesu Haileya, nie przyniosły im zasadniczej zmiany statusu materialnego, na jaką liczyli i która im się należała. Skoro Jake był skazany na codzienną partanię biurową w roli szeregowego prawnika, równie dobrze mógł to robić gdzie indziej. Carla też mogła uczyć gdziekolwiek. Przecież na pewno uda im się znaleźć jakieś miejsce, w którym będą mogli spokojnie pracować, bez ciągłego oglądania się za siebie. Jake mógł się cieszyć szacunkiem czarnoskórej społeczności okręgu Ford, ale wielu białych mieszkańców wciąż go nienawidziło. A szaleńców nie brakowało. Z drugiej strony mieszkanie wśród tak wielu przyjaciół dawało poczucie bezpieczeństwa. Ich sąsiedzi mieli oko na ruch uliczny i reagowali na wszystkie obce pojazdy. Każdy gliniarz w mieście i każdy funkcjonariusz z biura szeryfa okręgowego wiedział, że pilnowanie trzyosobowej rodziny Brigance'ów ma najwyższy priorytet.

Nie było szans, by Jake i Carla naprawdę się stąd wyprowadzili, choć czasami z przyjemnością bawili się w „gdzie byś chciał/chciała zamieszkać?”. Była to jednak tylko zabawa, Jake znał bowiem brutalną prawdę, że nigdy nie odnalazłby się w dużej firmie prawniczej w wielkim mieście oraz że w żadnym stanie nie znalazłby małego miasta, w którym nie roiłoby się od prawników walczących o klientów. Jego przyszłość była na zawsze związana z tym miastem i tak naprawdę wcale go to nie martwiło. Musiał tylko zacząć lepiej zarabiać.

Gdy mijał pustą działkę przy Adams, zmełł pod nosem kilka

przekleństw, myśląc o tchórzach, którzy spalili mu dom, i dorzucił parę soczystych określeń pod adresem firmy ubezpieczeniowej. Z Adams skręcił w Jefferson Street, potem w Washington Street, która przecinała miasto ze wschodu na zachód i stanowiła północną pierzeję rynku w Clanton. Jego biuro mieściło się przy Washington, obok imponującego gmachu sądu. Zaparkował na zwykłym miejscu, bo o szóstej rano wszędzie było pusto, i miał wybór. Jeszcze przez dwie godziny na rynku będzie spokój, bo dopiero wtedy zaczną się otwierać sklepy i biura oraz zacznie pracę sąd.

Natomiast w kawiarni Coffee Shop już teraz robiło się gwarno, a pomieszczenie wypełniał tłumek robotników, farmerów i funkcjonariuszy z biura szeryfa. Przeciskając się między nimi, Jake witał się na prawo i lewo ze znajomymi. Był w tym gronie jedynym bywalcem w marynarce i koszuli z krawatem. Tak zwane białe kołnierzyki spotykały się godzinę później w herbaciarni Tea Shoppe po drugiej stronie rynku, gdzie dyskutowano o stopach procentowych i polityce światowej. W kawiarni rozmawiało się o futbolu, miejscowych plotkach i łowieniu okoni. Jake był jednym z nielicznych przedstawicieli wolnych zawodów tolerowanych w Coffee Shopie, z kilku przyczyn: był powszechnie lubiany, nie zadzierał nosa i miał pogodne usposobienie, a ponadto, gdy któryś z bywalców popadł w tarapaty, mógł zawsze zwrócić się do Jake'a o szybką bezpłatną poradę prawną. Jake powiesił marynarkę na wieszaku na ścianie i usiadł na wolnym miejscu przy stoliku Prathera, pracującego w biurze szeryfa. W sobotę drużyna Ole Miss* przegrała trzema przyłożeniami z Georgią i mecz stanowił główny temat rozmów. Opryskliwa i wiecznie żująca gumę kelnerka imieniem Dell naląła mu kawy, przy okazji ocierając się o niego swym wydatnym zadem, co robiła regularnie sześć

* Ole Miss — potoczny skrót nazwy University of Mississippi (Uniwersytet Missisipi); slangowo „stara panna”.

razy w tygodniu, następnie zaś jak zwykle przyniosła jedzenie, którego nie zamówił: biały tost, kaszka kukurydziana i galaretka truskawkowa. Jake pokropił kaszkę sosem tabasco i usłyszał, jak Prather go pyta:

— Jake, znałeś Seta Hubbarda?

— Nigdy się nie spotkaliśmy — odrzekł Jake. — Ale trochę o nim słyszałem. Mieszkał gdzieś pod Palmyrą, nie?

— Zgadza się. — Prather wsunął do ust kawałek kiełbaski i zaczął żuć.

Jake upił łyk kawy i chwilę odczekał.

— Zakładam, że Hubbardowi coś się przydarzyło, bo użyłeś czasu przeszłego.

— Co zrobiłem? — rzucił Prather. Miał irytujący zwyczaj zadawania pytań głośnym, zaczepnym tonem i spokojnego kontynuowania śniadania. Zwykle znał odpowiedź i chodziło mu tylko o wyciągnięcie czegoś jeszcze.

— Użyłeś czasu przeszłego. Spytałeś, czy znałem Seta Hubbarda, a nie czy go znam, co by znaczyło, że jeszcze żyje. Kapujesz?

— Chyba tak.

— No więc co mu się stało?

— Powiesił się. Znaleźli go wczoraj wiszącego na drzewie — wtrącił Andy Furr, mechanik z serwisu Chevroleta.

— Zostawił list i w ogóle — dorzuciła Dell, przechodząc obok z dzbankiem kawy. Kawiarnia była czynna od godziny, więc kelnerka oczywiście zdążyła już dowiedzieć się wszystkiego o śmierci Seta Hubbarda.

— I co było w tym liście? — spytał Jake.

— Nie mogę ci powiedzieć, słoneczko — zaszczębiotała Dell. — To sprawa między mną a Sethem.

— W ogóle go nie znałaś — mruknął Prather.

Dell miała opinię starej dziry o najbardziej ciętym języku w mieście.

— Kiedyś się kochaliśmy. Może nawet ze dwa razy. Nie

mogę wszystkich pamiętać.

— Bo tyłu ich było — rzucił Prather.

— Ale tobie, staruszk, nawet nie udało się zbliżyć.

— Czyli rzeczywiście nie wszystko pamiętasz. — Parsknął śmiechem. Kilku słyszących rozmowę też się roześmiało.

— Gdzie był ten list? — spytał Jake, by zmienić temat.

Prather wepchnął do ust wielki kęs naleśnika, pożuł chwilę, po czym powiedział:

— W kuchni na stole. Ma go teraz Ozzie i prowadzi śledztwo, tyle że nie bardzo jest co śledzić. Wygląda na to, że Hubbard rano był w kościele i wszystko było normalnie, potem wrócił do domu, wziął drabinę i sznur i załatwił sprawę. Około drugiej znalazł go jeden z jego pracowników, jak dyndał w lejącym deszczu. Był w wyjściowym niedzielnym garniturze.

Sprawa wyglądała na ciekawą, niezwykłą i dramatyczną, jednak dla Jake'a ofiara była kimś zupełnie obcym i trudno mu było aż tak się tym przejmować.

— Coś mu było? — zaciekawił się Andy Furr.

— Nie wiem — odrzekł Prather. — Ozzie go chyba znał, ale nic nie mówił.

Dell napełniła ich filiżanki i zatrzymała się przy stoliku, żeby pogadać. Oparła rękę na biodrze i powiedziała:

— To prawda, że nigdy go nie znałam. Ale moja kuzynka poznała jego pierwszą żonę, a miał ich co najmniej dwie. Żona mówiła, że Seth miał sporo ziemi i kupę forsy. Ale trzymał się na uboczu, miał swoje sekrety i nikomu nie ufał. Mówiła też, że był z niego kawał sukinsyna, tylko że eksżony zawsze tak mówią po rozwodzie.

— Powinnaś coś o tym wiedzieć — mruknął Prather.

— Powinam i wiem, staruszk. W ogóle wiem dużo więcej od ciebie.

— Zostawił testament? — spytał Jake. Nie przepadał za sprawami spadkowymi, ale gdy przedmiotem spadku jest znaczny majątek, zajmujący się tym adwokat może liczyć na sowite

honorarium. Czysto papierkowa robota, parę wizyt w sądzie, w sumie nic trudnego. Jake wiedział, że z wybiciem dziewiątej wszyscy prawnicy w mieście ruszą do boju, by ustalić, kto spisał ostatnią wolę Seta Hubbarda.

— Jeszcze nie wiem — odrzekł Prather.

— Ale testamentów się chyba nie rozgłasza, nie? — zapytał Bill West, elektromonter z fabryki obuwia, nieco na północ od miasta.

— Nie za życia spadkodawcy. Każdy ma prawo zmieniać testament do ostatniej chwili, więc wcześniejsze ujawnienie mijałoby się z celem. W końcu możesz sobie nie życzyć, żeby cały świat znał twój testament, zanim umrzesz. Po śmierci spadkodawcy, gdy testament zostaje uznany za autentyczny i złożony w sądzie, treść staje się dostępna dla każdego. — Jake rozejrzał się po sali i naliczył co najmniej trzech klientów, dla których sporządzał testamenty. Robił to szybko i tanio, a jego testamenty były krótkie i zwięzłe. Ludzie o tym wiedzieli i interes się kręcił.

— Jak długo po śmierci zaczyna się postępowanie spadkowe? — spytał Bill West.

— Nie ma sztywnego limitu czasowego. Zwykle wdowa po zmarłym lub jego dzieci odnajdują testament i zanoszą do adwokata, po czym jakiś miesiąc po pogrzebie sprawa trafia do sądu i zaczyna się procedura spadkowa.

— A jak nie ma testamentu?

— Brak testamentu to marzenie każdego prawnika. — Jake parsknął śmiechem. — Bo to oznacza awanturę. Gdyby Hubbard umarł bez spisania ostatniej woli i zostawił dwie byłe żony, może też dorosłe dzieci, może jakieś wnuki, to przez następne pięć lat wszyscy by się żarli o podział spadku. Oczywiście zakładając, że byłoby co dzielić.

— O tak, bez obaw — wtrąciła z daleka Dell. Jej radar ani na chwilę nie przestawał działać. Jeśli ktoś zakaszał, ona z drugiego końca sali pytała go o zdrowie. Jeśli kichnął, biegła

do niego z chusteczką. Jeśli ktoś był zbyt milczący, była gotowa go pytać o problemy domowe lub kłopoty w pracy. Jeśli ktoś zaczynał mówić ściszym głosem, stawała przy nim i dolewała kawy, nie bacząc na zawartość kubka. Nic nie umykało jej uwagi, wszystko pamiętała i nigdy nie pomijała okazji, by wypomnieć mówiącemu, że trzy lata wcześniej mówił coś przeciwnego.

Prather zrobił minę z kategorii „walnięta wariatka”, ale na wszelki wypadek nie powiedział tego głośno. W ciszy dokończył naleśniki i wstał od stolika.

Chwilę później Jake zrobił to samo. Za dwadzieścia siódma zapłacił rachunek i wyszedł z kawiarni, uściskawszy po drodze Dell i zakrztusiwszy się od zapachu jej tanich perfum. Niebo na wschodzie robiło się pomarańczowe, wstawał nowy dzień. Po wczorajszym deszczu nie pozostał ślad, powietrze było chłodne i rześkie. Jak zwykle Jake skręcił w lewo i oddalając się od biura, ruszył przed siebie szybkim zdecydowanym krokiem, jakby się śpieszył na ważne spotkanie. W rzeczywistości nie czekało go dziś nic ważnego. Ot, zwykle użeranie się z problemami klientów.

Jake odbył poranny spacer wokół rynku, mijając banki, agencje ubezpieczeniowe i biura handlu nieruchomościami, sklepy i knajpki. Wszystkie tłoczyły się blisko siebie i ze względu na porę były jeszcze zamknięte. Z kilkoma wyjątkami, wokół rynku stały jednopiętrowe domy zbudowane z czerwonej cegły, a ich balkony z balustradami z fantazyjnie wygiętych żelaznych prętów wystawały nad chodnikiem biegnącym wzdłuż boków idealnego kwadratu, którego środek zajmował otoczony trawnikiem gmach sądu. Clanton nie kwitło, ale też nie zamierało jak wiele miasteczek na głębokim wiejskim Południu. Z powszechnego spisu ludności z 1980 roku wynikało, że w samym Clanton mieszało osiem tysięcy osób, liczba mieszkańców w całym okręgu była czterokrotnie większa. Zakładano, że w następnym spisie ludności liczby te nieco

wzrosną. Przy rynku nie straszyły puste lokale, zabite deskami witryny ani żałosne wywieszki „Do wynajęcia”. Jake pochodził z Karaway, małego, dwuipółtysięcznego miasteczka niecałe trzydzieści kilometrów na zachód od Clanton, w którym główna ulica zupełnie zamierała. Kupcy się wynosili, knajpki zamykały, a prawnicy likwidowali swoje kancelarie i przenosili się do stolicy okręgu. Obecnie przy rynku w Clanton działało ich dwudziestu sześciu, ale liczba stale rosła i walka o klientów stawała się coraz bardziej mordercza. Ile jeszcze wytrzymamy? Jake często zadawał sobie to pytanie.

Lubił mijać cudze kancelarie prawne i patrzeć na zamknięte na głucho drzwi i ciemne wnętrza. Wykonywał swoistą rundę zwycięzcy. Był gotów do boju, podczas gdy jego konkurencja jeszcze spała. Przeszedł obok kancelarii Harry’ego Rexa Vonnera, najbardziej zaprzyjaźnionego z nim adwokata i niezłomnego bojownika sądowego, który przychodząc do pracy około dziewiętej, często zastawał poczekalnię pełną poirytowanych kandydatów na rozwodników. Harry Rex sam był kilkakrotnie żonaty, wiedział, co znaczy rozchwiane życie domowe, i wołał siedzieć w kancelarii do późnego wieczora. Nieco dalej Jake minął znieawidzoną firmę Sullivana, zatrudniającą najliczniejszą hordeę prawników w całym okręgu. Dziewięciu, według najświeższych danych. Dziewięciu zasrańców, których Jake starał się unikać, po części też z zazdrości. Do klientów Sullivana należały banki i firmy ubezpieczeniowe, więc zatrudnieni u niego prawnicy zarabiali więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci. Minął też zamknięte na kłódkę drzwi biura starego kumpla Macka Stafforda, który od ośmiu miesięcy nie dawał znaku życia. Mówiło się, że zwiął w środku nocy z pieniędzmi klienta i od tej pory ślad po nim zaginął. Żona i dwie córki wciąż liczyły, że wróci, podobnie jak prokuratura, która postawiła go w stan oskarżenia. W głębi duszy Jake miał nadzieję, że Mack siedzi gdzieś na plaży, sączy koktajle z rumem i nikt go tu już nie zobaczy. Tu był nieszczęśliwy w nieudanym

małżeństwie. „Uciekaj, Mack, uciekaj!”, mruzczał pod nosem Jake, muskając palcami kłódkę i nie zwalnając kroku.

Mijał kolejne lokale — redakcję „The Ford County Times”, herbaciarnię Tea Shoppe, właśnie budzącą się do życia, sklep z męską odzieżą, w którym kupował ubrania na wyprzedających, prowadzoną przez Murzynów knajpkę, w której co piątek jadł lunch w gronie innych białych liberałów, sklep z antykami należący do hochsztaplera, przeciwko któremu Jake już dwukrotnie występował w sądzie, bank trzymający drugą hipotekę na jego dom i uczestniczący w tym samym postępowaniu sądowym oraz siedzibę władz okręgu, gdzie urzędował nowy prokurator okręgowy, kiedy był w mieście. Poprzedni, Rufus Buckley, odszedł w niesławie w zeszłym roku, niewybrany przez wyborców na następną kadencję i raz na zawsze usunięty z grona kandydatów na wybieralne urzędy. Przynajmniej Jake — tak jak wielu innych — miał taką nadzieję. Niewiele brakowało, by podczas procesu Haileya on i Buckley rzucili się sobie do gardeł, i obaj do dziś gorąco się nienawidzili. Były prokurator wrócił do rodzinnego Smithfield w okręgu Polk i lizał rany, starając się wiązać koniec z końcem w kancelarii prawnej przy Main Street, jednej z wielu w mieście.

Runda wokół rynku dobiegła końca i Jake otworzył kluczem drzwi do swojej kancelarii w lokalu powszechnie uważanym za najlepszy w Clanton. Dom, w którym się mieściła, jak zresztą większość budynków wokół rynku, postawiła sto lat wcześniej rodzina Wilbanksów i niemal od początku funkcjonowała w nim firma prawnicza któregoś z członków klanu. Do zerwania z tą tradycją doszło w chwili, gdy Luciena Wilbanksa, ostatniego i niewątpliwie najbardziej szalonego członka dynastii, pozbawiono uprawnień adwokackich. Krótko przedtem zatrudnił w firmie Jake’a, przepelnionego szlachetnymi ideami młodego absolwenta prawa. Lucien starał się go z nich wyleczyć, jednak zanim mu się to udało, Stanowa Rada Adwokacka cofnęła mu licencję. Lucien musiał porzucić praktykę, innych

Wilbanksów nie było i w rezultacie Jake przejął we władanie wspaniałe pomieszczenia biurowe. Wykorzystywał tylko pięć spośród dziesięciu pokoi. Na parterze mieściła się obszerna recepcja, w której jedyna pracownica prowadziła sekretariat i witała gości. Na piętrze był gabinet, ogromne pomieszczenie dziewięć na dziewięć metrów, gdzie Jake spędzał dnie za potężnym dębowym biurkiem po Lucienie, które wcześniej służyło jego ojcu i dziadkowi. Gdy zaczynał się nudzić — co zdarzało mu się dość często — otwierał dwuskrzydłowe drzwi balkonowe i wychodził na taras, skąd roztaczał się piękny widok na gmach sądu i cały rynek.

Jak zawsze o siódmej zasiadł przy biurku i łyknął kawy. Zajrzał do kalendarza i stwierdził, że dzień nie zapowiada się ani obiecująco, ani szczególnie lukratywnie.